



33 razy, mój kochany

NICOLAS BARREAU

*Dla mojej Matki,
która pokazała mi grób Heinricha Heinego.
I tyle innych rzeczy,
o których zawsze będę pamiętał.
Dziękuję za wszystko.*

*Ach, ukochana ma, przyjdź,
niech wróci czas, niech trwa
znów tamten maj.*

PROLOG

Na Montmartre, słynnym wzgórzu na północy Paryża, gdzie na place du Tertre turyści tłoczą się wokół ulicznych malarzy, którzy utrwalają na płótnie wątpliwej jakości obrazy, gdzie wiosną zakochani, trzymając się za ręce, błądzą rojnymi ulicami i wreszcie, leciutko zadyszani, przysiadają na schodach kościoła Sacré-Coeur, by w zachwycie spojrzeć na miasto rozbłyskujące w ostatnich promieniach bladego różu, nim zapadnie noc – tam znajduje się cmentarz. Bardzo stary cmentarz, z piaszczystymi ścieżkami i długimi, cienistymi alejami lip i klonów, z nazwami i numerami jak w porządnym małym miasteczku. Bardzo cichym miasteczku. Niektórzy ze spoczywających tutaj są sławni, inni zaś wcale. Są tu groby z efektownymi pomnikami i odzianymi w długie kamienne szaty figurami przypominającymi anioły, które miękko rozkładają ramiona i wznoszą oczy ku niebu.

Mężczyzna o ciemnoblond włosach wchodzi na cmentarz. Trzyma za rękę małego chłopca i przystaje przed grobem znanym niewielu osobom. Nie leży tam żadna znakomitość. Żaden pisarz, muzyk czy malarz. Ani też Dama Kameliowa. Tylko ktoś, kogo bardzo kochano.

Jednak anioł wyrzeźbiony na przymocowanej do marmuru płycie z brązu jest jednym z najpiękniejszych na cmentarzu: głowa kobiety, która z powagą i chyba też ze stoicyzmem ogląda się za siebie, długie włosy opadają jej na twarz, jak gdyby z tyłu powiał właśnie wiatr. Mężczyzna stoi nieruchomo, dziecko zaś skacze pomiędzy grobami i ściga kolorowe motyle.

– Tata, patrz, motyl! – woła. – Prawda, jaki piękny? Jaki cudowny?

Mężczyzna ledwo dostrzegalnie kiwa głową. Dla niego nic już nie jest piękne, a w cuda od dawna nie wierzy. Skąd miałby wiedzieć, że to tutaj, dokładnie w tym miejscu, stanie się coś tak cudownego, że w istocie będzie równoznaczne z cudem. Teraz uważa się za najnieszcześniejszego człowieka na świecie.

Na cmentarzu Montmartre poznał swoją żonę. Przed pięcioma laty przy grobie Heinricha Heinego*. Był słoneczny majowy dzień i właśnie wtedy zaczęło się coś, co jakiś czas temu nieodwołalnie się skończyło.

* Jeden z największych poetów niemieckich (1797–1856), którego wiersze są popularne do tej pory. Znakomity liryk był również niezależnym publicystą o radykalnych poglądach, co spowodowało, że jego pobyt w Paryżu (od 1831 roku) zamienił się w przymusowe wygnanie aż do śmierci. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Mężczyzna rzuca ostatnie spojrzenie na wykonanego z brązu anioła o dobrze mu znanych rysach. Potajemnie pisze listy. Ale na to, co ma się stać, nie jest przygotowany. Tak jak nikt nie jest przygotowany na szczęście lub miłość. A przecież i jedno, i drugie zawsze jest tuż obok. W zasadzie jako pisarz powinien o tym wiedzieć.

Mężczyzna nazywa się Julien Azoulay.

A Julien Azoulay – to ja.

ŚWIAT BEZ CIEBIE

Właśnie usiadłem za biurkiem, by dotrzymać obietnicy i wreszcie, wreszcie napisać do Hélène, gdy usłyszałem dzwonek do drzwi. Postanowiłem go zignorować, starannie odkręciłem pióro i poprawiłem leżący przede mną arkusz papieru. Napisałem „Kochana Hélène”, po czym jakoś bezradnie zapatrzyłem się w słowa, które widniały na karcie równie samotne jak ja w ostatnich tygodniach i miesiącach.

Co napisać człowiekowi, którego się kochało ponad wszystko na świecie i którego tragicznym zrządzeniem losu już nie ma? Już wówczas przeczuwałem, że składanie jej tej obietnicy to idiotyczny pomysł. Ale Hélène się uparła. I jak zawsze, gdy moja żona wbiła sobie coś do głowy, nie dało się jej przekonać żadnymi argumentami. Na koniec i tak stawiała na swoim. Hélène była nieustępliwa. Tylko

ze śmiercią nie zdołała sobie poradzić. Ta była silniejsza nawet od niej.

Znowu zadźwięczał dzwonek, ale ja już daleko odbiegłem myślami.

Uśmiechnąłem się gorzko, a przed sobą wyraźnie widziałem jej bladą twarz o zielonych oczach, które przy zapadniętych policzkach z dnia na dzień wydawały się coraz większe.

– Chciałabym, żebyś po mojej śmierci napisał do mnie trzydzieści trzy listy – powiedziała, świdrując mnie wzrokiem. – Po jednym liście za każdy rok, który przeżyłam. Julien, obiecaj mi to.

– A na co to komu? – zapytałem. – Przecież życia ci to nie wróci.

Szalałem wtedy z bólu i strachu. Dzień i noc siedziałem przy łóżku Hélène, kurczowo ścisnąłem ją za rękę i nie chciałem, nie potrafiłem wyobrazić sobie życia bez niej.

– Dlaczego miałbym pisać do ciebie listy, jeżeli nigdy nie dostanę odpowiedzi? Przecież to zupełnie bez sensu – dodałem cicho.

Zachowywała się tak, jakby nie słyszała moich protestów.

– Po prostu je napisz. Napisz mi, jak wygląda świat beze mnie. Napisz mi o sobie i o Arturze. – Uśmiechnęła się, a mnie łzy stanęły w oczach. – Uwierz mi, to ma sens. Jestem pewna, że w końcu dostaniesz odpowiedź. A poza tym ja będę czytać te listy, gdziekolwiek się znajdę, i będę mieć na was oko.

Potrząsnąłem głową i załkałem.

– Hélène, nie dam rady, po prostu nie dam rady!

Nie miałem tu oczywiście na myśli napisania trzydziestu trzech listów, tylko tego wszystkiego. Całego życia bez niej. Bez Hélène.

Patrzyła na mnie łagodnym wzrokiem, a współczucie bijące z jej oczu łamało mi serce.

– Moje biedne kochanie – powiedziała, a ja poczułem, ile wysiłku musiała włożyć w uścisk dłoni, który miał mi dodać otuchy. – Teraz musisz być silny. Musisz zatroszczyć się o Artura. Tak bardzo cię potrzebuje.

A potem powiedziała coś, co już wielokrotnie powtarzała w ciągu tych tygodni, jakie minęły od ostatniej, druzgocącej diagnozy, i co jej, w przeciwieństwie do mnie, najwyraźniej dawało siłę, by spokojnie zmierzyć się z nadchodzącym końcem.

– Julien, wszyscy przecież umrzemy. To zupełnie normalne i stanowi część życia. Tyle że moja kolej nadeszła nieco wcześniej. Możesz mi wierzyć, nie jestem specjalnie szczęśliwa z tego powodu, ale tak to już jest. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – No chodź, pocałuj mnie.

Odgarnąłem jej z czoła miedzianoblond kosmyk i delikatnie ucałowałem jej wargi. W ciągu ostatnich miesięcy jej o wiele za krótkiego życia stała się szalenie krucha. Kiedy ją ostrożnie obejmowałem, bałem się, że coś jej uszkodzę, a przecież ciało i tak już miała zniszczone. Tylko jej odwaga nie zmalała ani na jotę i dalece przewyższała moją.

– Obiecuj mi – powtórzyła i dostrzegłem tłącą się w jej oczach iskierkę. – Założę się, że kiedy napiszesz ostatni list, twoje życie odmieni się na lepsze.

– Obawiam się, że przegrasz ten zakład.

– Mam nadzieję, że nie. – Przez twarz przemknął jej wszechwiedzący uśmiech, a powieki zatrzepotały. – A wtedy masz mi przynieść gigantyczny bukiet róż, największy na całym cholernym cmentarzu Montmartre.

Taka była Héléne. Nawet w najcięższych chwilach życia potrafiła cię rozbawić. Płakałem i śmiałem się jednocześnie, ona zaś wyciągnęła do mnie szczupłą rączkę, a ja przybiłem na znak zgody i złożyłem jej obietnicę.

Słowo pisarza. W końcu nic nie mówiła o tym, kiedy mam napisać te listy. I tym sposobem z października zrobił się listopad, a z listopada grudzień. Po jednym smutnym miesiącu następował drugi, zmieniały się kolory pór roku, ale mnie było wszystko jedno. Słońce runęło z nieba, a ja żyłem w dole czarnym jak atrament, dokąd nie docierały słowa. Nastął marzec, ja zaś nie napisałem jeszcze ani jednego listu. Ani jednego.

Próbowałem, oczywiście. Chciałem dotrzymać obietnicy, bądź co bądź to było ostatnie życzenie Héléne. Kosz na papiery pęczniał od zmiętych kartek, na których roilo się od niedokończonych zdań. Na przykład takich:

„Moja najukochańsza Héléne, odkąd Ciebie nie ma, nie ma dla mnie...”

„Ukochana, jestem tak strasznie wyczerpany bólem i żalobą i coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy życie w ogóle...”

„Najmilsza, wczoraj znalazłem tę małą kulę z Wenecji z sypiącym się śniegiem. Leżała z tyłu Twojej szafki nocnej i od razu przypomniało mi się, jak oboje...”

„Mój najdroższy na całym świecie człowieku, tęsknię za Tobą każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty... Czy Ty w ogóle wiesz...”

„Kochana Hélène, Artur wczoraj powiedział, że nie chce takiego smutnego taty i że Tobie przecież jest teraz dobrze wśród aniołów...”

„Hélène, *mayday, mayday*, tonący wzywa pomocy, wracaj, nie mogę...”

„Aniele mój, śniłaś mi się tej nocy i taki byłem zaskoczony, gdy rano nie znalazłem Cię obok siebie...”

„Moja najmilsza, moja utęskniona, nie myśl, proszę, że zapomniałem o złożonej Ci obietnicy, ale...”

*

Ale po prostu nie napisałem niczego, co by wykraczało poza ten żalony bełkot. Siedziałem tak, przygnieciony nieszczęściem i dosłownie oniemiały. W ogóle nic nie pisałem, co nie jest akurat zaletą w wypadku pisarza, i to zapewne też był powód, dla którego ktoś tak natarczywie dzwonił do drzwi.

Z westchnieniem odłożyłem pióro na biurko, wstałem i podszedłem do okna. Na dole, na rue Jacob, stał elegancko ubrany pan niewielkiego wzrostu, w ciemnoniebieskim płaszczu przeciwdeszczowym. Najwyraźniej postanowił, że nie przestanie naciskać dzwonka. Obawiałem się tego.

Mężczyzna podniósł wzrok ku mokremu wiosennemu niebu, po którym wiatr gonił chmury, a ja się spieszenie cofnąłem.

Był to Jean-Pierre Favre, mój wydawca.

*

Odkąd pamiętam, poruszałem się w świecie pięknych słów. Najpierw pracowałem jako dziennikarz, potem jako scenarzysta. Aż wreszcie napisałem pierwszą powieść. Komedię romantyczną, która trafiła w swój czas i ku zaskoczeniu nas wszystkich stała się bestsellerem. Wszyscy powtarzają, że Paryż to miasto miłości, ale niekoniecznie dotyczy to tematów, jakich szukają paryscy wydawcy. Jeden po drugim odrzucali mój rękopis lub w ogóle nie dawali żadnej odpowiedzi, aż pewnego dnia zgłosiło się do mnie małe wydawnictwo z siedzibą na rue de Seine. Jean-Pierre Favre, szef Éditions Garamond, nie rozglądał się jak jego koledzy za literaturą wysoką i intelektualnymi rozprawami, urzekł go mój zabawny, nieduży tekst pełen tragikomicznych zawirowań, który nie wstydził się romantyzmu.

– Mam już sześćdziesiąt trzy lata i coraz mniej rzeczy jest w stanie mnie rozbawić – powiedział, gdy po raz

pierwszy spotkaliśmy się w Café de Flore* . – Pańska książka, monsieur Azoulay, mnie rozbawiła, a to więcej, niż można dziś powiedzieć o większości z nich. Tak czy owak, im człowiek jest starszy, tym mniej się śmieje, może mi pan wierzyć. – Smętnie westchnąwszy, usiadł na skórzanej ławie pod oknem na pierwszym piętrze kawiarni, gdzie znaleźliśmy ustronny stolik, i uniósł ręce w komicznym geście rozpacz. – Gdzie podzieli się ci wszyscy autorzy, którzy potrafią jeszcze napisać porządną komedię? Coś dla ducha i dla serca. Ale nic z tego! Wszyscy chcą pisać o beznadziei, o upadku, wielki dramat. Dramat, dramat, dramat. – Uderzył się kilkakrotnie w czoło okolone elegancko zaczesanymi do tyłu szpakowatymi włosami, które z wolna zaczynały się przeredzać. – Wielkomiejska depresja, niańki dokonujące morderstw, upiorne wizje inspirowane Al-Kaidą i spółką. – Strzepnął ze stołu okruchy chleba. – Wszystko ma swoje usprawiedliwienie, niemniej... – Nachylił się i przeszył mnie spojrzeniem swoich jasnych oczu. – Chcę ci coś powiedzieć, młody człowieku. O wiele trudniej, niż się uważa, napisać dobrą komedię. Trzeba prawdziwego mistrzostwa, żeby wykreować coś, co nie byłoby pełne banałów, a do tego miało w sobie tę cudowną lekkość, która zostawia nas z przekonaniem, że życie mimo wszystko

* Jeden ze sławnych lokali paryskich przy bulwarze Saint-Germain, założony w latach 80. XIX wieku – ulubione miejsce spotkań wybitnych pisarzy i artystów, od Jorisa-Karla Huysmansa przez Georges'a Bataille'a, Raymonda Queneau po Pabla Picassa czy egzystencjalistów, jak Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir. Od 1994 roku wręczana jest tu nagroda literacka Prix de Flore.

warte jest zachodu! Ja w każdym razie jestem już za stary na opowieści, po których lekturze człowiek dochodzi do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli rozejrzy się za najbliższym wieżowcem, żeby z niego skoczyć. – Rozerwał niecierpliwie trzy tutki cukru, wsypał do świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy i mieszał w szklance jak oszalały. I najwyraźniej przyszła mu do głowy nowa myśl: – Albo kino! Weźmy na przykład kino!

Zrobił teatralną pauzę, a ja czekałem w napięciu, co powie. Ten człowiek, jak zdołałem się już zorientować, był fantastycznym mówcą.

– Nic, tylko smętek i wariactwo z wyższymi ambicjami. Każdy dziś marzy tylko o jednym: żeby być niepowtarzalnym. Ale ja, rozumie pan, chciałbym się pośmiać. Chciałbym czegoś, co przyspieszy bicie mojego serca. – Złapał się za błękitną kamizelkę, którą nosił pod marynarką, i wypił wielki łyk soku pomarańczowego. Nagle przez twarz przemknął mu młodzieńczy uśmiezek. – Widział pan ten film o japońskim rzeźniku, który się zakochał w swojej świni i na końcu oboje popełniają harakiri? Pytam, kto wymyśla takie rzeczy? – Potrząsnął głową. – Ludzkość oszalała. Szczerze boleję, że nie ma już takich ludzi jak Billy Wilder czy Peter Bogdanovich. To byli porządni fachowcy. – Parę razy cmoknął z uznaniem. – Można tylko mieć nadzieję, że Woody Allen jeszcze trochę pożyje. *O północy w Paryżu* było po prostu rewelacyjne, prawda? Ten obraz zachwycał, inteligentnie bawił, wywoływał uśmiech na twarzy. Oboje z żoną jak w uniesieniu w y p ł y n ę l i ś m y z kina.

Ze zrozumieniem kiwnąłem głową. Też widziałem ten film.

– Niech mi pan wierzy, monsieur Azoulay, życie to nie bajka i dlatego potrzebujemy takich książek jak pańska powieść – zakończył swoją płomienną przemowę i wręczył mi pióro marki Montblanc, bym złożył podpis. – Wierzę w pana.

Od tego czasu minęło sześć lat. Moja powieść stała się bestsellerem, z Garamondem zawarłem umowę na trzy kolejne książki, co zapewniło mi bezpieczeństwo finansowe na najbliższe lata i pozwoliło na luksus zajmowania się wyłącznie pisaniem. Poznałem rudowłosą Héléne, która uwielbiała wiersze Heinricha Heinego, a pod prysznicem śpiewała piosenki Sachy Distela. Była nauczycielką, była w ciąży, była moją żoną, a potem zostaliśmy rodzicami chłopczyka, który – jak Héléne stale podkreślała – miał szczęście, że odziedzyczył po mnie włosy ciemnoblonde, a nie marchewkową strzechę po niej.

Życie było pogodne jak letni dzień i do czego tylko się zabieraliśmy, szło nam po prostu jak z płatka.

Póki nie nadeszła katastrofa.

– Krew nie tam, gdzie trzeba – powiedziała mi pewnego ranka Héléne po wyjściu z łazienki. – No cóż, miejmy nadzieję, że to nic strasznego.

Ale to było straszne. Straszniejsze niż straszne. Byłem autorem komedii romantycznych, które się dobrze sprzedawały, zarabiałem na tym pieniądze. A tu raptem mój słownik wzbogacił się o tak głęboko wytrącające z równowagi

słowa, jak nowotwory kolorektalne, markery nowotworowe, cisplatyna, przerzuty, pompa morfinowa, hospicjum.

Dowiadywałem się teraz, że życie to nie bajka, mimo że Héléne trzymała się dzielnie, a prognozy na początku wydawały się bardzo optymistyczne. Po roku myśleliśmy, że choroba została pokonana. Było lato, pojechaliśmy z Arturem do Bretanii, nad morze. Życie było cenniejsze niż kiedykolwiek, było darem. Raz jeszcze udało nam się wyjść z kłopotów obronną ręką.

A potem Héléne zaczęła się uskarżać na bóle kręgosłupa.

– Powoli zamieniam się w starą babę – żartowała, owijając się na plaży w kolorowe pareo.

Wtedy już wszędzie miała przerzuty, wbiły się w jej ciało niczym tysiące małych raków i nie dało się ich przegonić. W połowie października było po wszystkim. Guzy się rozpadły, a wraz z nimi Héléne. Moja wiecznie optymistyczna, pełna radości życia żona, która tak lubiła się śmiać. Razem z nią przepadły wszystkie nasze marzenia.

Zostałem z naszym synkiem, z sercem ciężkim jak ołów, z niedotrzymaną obietnicą i ze stopniowo topniejącymi pieniędzmi na koncie. Był marzec, od roku nie napisałem ani linijki, nowej powieści miałem całe pięćdziesiąt stron, więc mój wydawca – co zrozumiałe – stał właśnie pod drzwiami i chciał wiedzieć, co dalej.

Dzwonek umilkł.

Monsieur Favre był delikatnym człowiekiem. Okazał się pełen zrozumienia. Przez te wszystkie miesiące nigdy na mnie nie naciskał. Dał mi czas, bym się pozbierał, poradził sobie z tym wszystkim, ogarnął się, jak to się ładnie mówi. Ani słówkiem nie wspomniał o powieści, która zgodnie

z jego planami miała być moim tegorocznym *rentrée*^{*}, a potem milcząco została przesunięta na kolejną wiosnę.

Dopiero przed dwoma tygodniami spróbował nawiązać kontakt. Najwyraźniej czas ochronny minął. Ostrożne podpytywanie nagrane na automatycznej sekretarce włączonej przez całą dobę. Współczujący list, na którego końcu widniało pytanie. Jego numer wyświetlający się po raz kolejny na mojej komórce.

Udawałem martwego, ale w jakimś sensie naprawdę nim byłem. Moja kreatywność znikła. Błyskotliwość językowa przekształciła się w cynizm. Dzień po dniu brnąłem przez życie. Nie nadawałem się do rozmów, bo co niby miałbym mu powiedzieć? Że już nigdy nie napiszę niczego sensownego? Że dawno zabrakło mi słów? Do głębi nieszczęśliwy człowiek, którego zaangażowano do pisania wesołych historyjek – oto ironia losu.

Kto wymyślił coś tak perfidnego? Bóg był sadystycznym żartownisiem, a dla mnie nie było ratunku.

– Dramat, dramat, dramat – wymruczałem z gorzkim uśmiechem i znowu zerknąłem przez okno.

Monsieur Favre zniknął, więc odetchnąłem z ulgą. Najwyraźniej dał za wygraną.

Zapaliłem papierosa i spojrzałem na zegarek. Jeszcze trzy godziny, a potem będę musiał odebrać Artura z przedszkola. Artur stanowił jedyny powód, dla którego w ogóle jeszcze żyłem. Dla którego w ogóle jeszcze wstawałem, ubierałem się, kupowałem w sklepie coś do jedzenia. Odzywałem się.

* Powrót.

Koleś nie odpuszczał. Miał to po matce. Ciągnął mnie obiema rączkami, by mi pokazać, co zbudował z klocków Lego, nocą wpełzał mi do łóżka i ufnie się przytulał, wciągał mnie w rozmowy, zadawał tysiące pytań, snuł plany. Mówił: „Chcę do zoo, zobaczyć żyrafy”. Albo: „Tata, drapiesz”. Lub: „Obiecałeś, że mi poczytasz”. Czy też: „Czy *maman** jest teraz lżejsza od powietrza?”

Zgasiłem papierosa i ponownie usiadłem przy biurku. Za dużo paliłem. Za dużo piłem. Odżywiałem się tabletkami na żołądek. Wyjąłem nowego papierosa z paczki opatrzonej odrażającym zdjęciem płuc przeżartych rakiem. A proszę bardzo! Marnie skończę, ale przedtem napiszę przynajmniej ten jeden list – pierwszy z trzydziestu trzech listów, które wydawały mi się tak potrzebne jak dziura w moście. Listy do umarłej. Przejechałem ręką przez włosy.

– Hélène, dlaczego... dlaczego? – wyszeptalem i zapatrzyłem się w oprawioną w ramki fotografię stojącą na biurku obitym ciemnozieloną skórą.

Ding-dong!

Dźwięk dzwonka do mieszkania sprawił, że się wzdrygnąłem. Z przestrachu pociągnąłem za łańcuszek staromodnej zielonej lampki bankierskiej i zgasiłem światło, które niepotrzebnie paliło się od wczesnego ranka. Kto to był tym razem? Sekundę później ktoś energicznie załomotał pięścią w drzwi.

– Halo! Panie Azoulay? Proszę otworzyć, wiem, że pan tam jest!

* Mama, mamusia.

Tak, byłem tutaj, w moim dobrowolnym więzieniu na trzecim piętrze, i nagle przypomniało mi się, jak przed kilku laty rozglądaliśmy się razem z Héléne i agentką po pustych pomieszczeniach tego właśnie mieszkania w starej kamienicy, na które było nas stać dzięki mojemu pierwszemu honorarium. „Mieszkanie marzeń – powiedziała agentka – słoneczne, oddalone tylko o parę kroków od boulevard Saint-Germain, a jednak ciche”. „Ale bez windy – wytknęła Héléne. – Na starość porządnie się zasapiemy, jak będziemy musieli się wdrapywać po tych wszystkich schodach”. Zaczęliśmy się śmiać – ta starość była przecież tak bardzo odległa.

W sumie to dziwne, czym człowiek czasami się zamarzwia, a potem i tak wszystko wygląda inaczej.

W każdym razie monsieur Favre’owi udało się jakoś przedostać do kamienicy i zręcznie pokonać schody.

Prawdopodobnie zadzwonił do sąsiadów. Miałem nadzieję, że nie do Cathérine Balland, u której zostawiliśmy jeden z kluczy do naszego mieszkania – tak na wszelki wypadek.

Cathérine była najlepszą przyjaciółką mojej żony. Mieszkała sama z kotką Zazie piętro niżej i z całych sił starała się mnie wspierać. Jeszcze pięć dni przed śmiercią Héléne wierzyła, że wszystko dobrze się skończy. Czasami zajmowała się Arturem i grała z nim godzinami w karcianą grę zwaną uno, której uroków nigdy jakoś nie udało mi się dostrzec. Była okropnie miła, ale sama zanadto tęskniła za Héléne, żeby naprawdę móc mnie pocieszyć. Wprost przeciwnie – czasami nie mogłem wytrzymać tego jej „ach,

Julien...” i smutnego, wymownego spojrzenia migdałowych oczu, tak przypominających oczy Julie Delpy.

Tego jeszcze brakowało, żebym miał się wyplakiwać na jej ramieniu, dziękuję bardzo!

– Panie Azoulay? No, niech się pan nie wygłupia. Przecież widziałem pana w oknie. Otwieraj pan! To ja, Jean-Pierre Favre, wydawca. Pamięta mnie pan? Nie każ mi pan sterczeć jak idiocie na korytarzu. Chcę tylko z panem porozmawiać. Otwieraj! – I znowu łomotanie do drzwi.

Siedziałem cicho jak mysz pod miotłą. Zdumiewająca była siła, jaką dysponował ten nieduży mężczyzna z zawsze nienagannie wymanikiowanymi dłońmi.

– Nie może się pan przecież wiecznie chować – dobiegł mnie kolejny argument.

Nic podobnego, mogę – pomyślałem krnąbrnie.

Na palcach podkrađłem się do drzwi, mając nadzieję, że usłyszę kroki Favre’a schodzącego po drewnianych schodach. Ale niczego nie usłyszałem. Może staliśmy tak obaj, ja w środku, on na zewnątrz, wstrzymując oddech i wyęzając słuch.

Nagle coś zaszeleściło, jakby ktoś wyrwał kartkę z zeszytu. Chwilę później w szczelinie pod drzwiami pojawiła się biała karteczka.

„Drogi Panie, dobrze się Pan czuje? Proszę mi przynajmniej powiedzieć, że wszystko w porządku. Nie musi mnie Pan wpuszczać, ale nie odejdę, póki nie da mi Pan znaku życia. Martwię się o Pana”.

Najwyraźniej widział mnie już stojącego na krześle, z pętlą wokół szyi, jakbym był pogrążonym w depresji bohaterem *Chleba i tulipanów*, jednego z jego ulubionych filmów*.

Mimowolnie się uśmiechnąłem i podkradłem z powrotem do biurka.

„WSZYSTKO W PORZĄDKU” – napisałem drukowanymi literami i wsunąłem kartkę pod drzwi.

„To dlaczego Pan nie otwiera?”

Zastanawiałem się przez moment.

„Bo nie mogę”.

Niezwłocznie nadeszła odpowiedź:

„Co to znaczy, że Pan nie może? Jest Pan nagi? Pijany? A może jakaś dama złożyła Panu wizytę?”

Zakryłem dłonią twarz, zacisnąłem usta i potrząsnąłem głową. Jakaś dama złożyła mi wizytę – tylko Favre mógł się posłużyć taką staromodną frazą.

„Nie, żadna dama mnie nie odwiedza. Piszę”.

Ponownie posłałem karteczkę szczeliną pod drzwiami mieszkania i czekałem.

„Cieszę się, że to słyszę. To dobrze, że znowu Pan pisze. To skieruje Pańskie myśli na inne tory, zobaczy Pan. W takim razie nie przeszkadzam. Niech Pan pisze, mój przyjacielu! I da znać o sobie. Do zobaczenia!”

„OK, do zobaczenia! Odezwę się”.

* Włoska komedia romantyczna Silvia Soldiniego z 2000 roku.

Jean-Pierre Favre stał jeszcze przez chwilę niezdecydowany pod drzwiami, a potem usłyszałem, jak schodzi. Pospieszyłem do okna i zobaczyłem, jak wychodzi z kamienicy, stawia kołnierz płaszcza i drobnym, energicznym krokiem oddala się rue de Jacob w stronę boulevard Saint-Germain.

A wtedy siadłem przy biurku i zacząłem pisać.